

MOŻESZ ALBO STĄD UCIEC,
ALBO TUTAJ UMRZEĆ

SKRZYDŁA I KOŚCI



JOANNA
PAWŁUSIÓW



JOANNA
PAWŁUSIÓW

SKRZYDŁA I KOŚCI



Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik
Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk
Redakcja: Paulina Zyszczak
Korekta: Beata Wójcik
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © Mark Owen / Trevillion Images
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2022 by Joanna Pawłusiów
Copyright © 2022, Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2022
ISBN 978-83-67137-92-8

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



1

Okruchy z ciasta rozsypały się po stole, ale Jadwiga nie sprzątnęła ich od razu. Poczekwała, aż Słaboniowa podsunie sobie talerz pod brodę, a potem szybkim ruchem przetarła podniszczoną ceratę leżącą na blacie. Strzepnęła wszystko na podłogę, ale skrzywiła się lekko, gdy część drobinek wpadła pomiędzy popękane deski.

Przysunęła się do stołu, krzesło skrzypnęło cicho pod jej ciężarem. Odwróciła twarz w stronę okna, a Słaboniowa, jakby czytając jej w myślach, uchyliła firankę, spojrzała na swój dom po przeciwnej stronie drogi, a potem przeniosła wzrok na stojący tuż obok dom sąsiadów. Wąski, dwupiętrowy. Od jakiegoś czasu opuszczony.

– Parę dni temu ktoś się tam kręcił. Dwa auta podjechały – oznajmiła, wciąż trzymając firankę w pomarszczonych dłoniach. – Ale nie widziałam kto. Tylko światło się po kolei w pokojach zapalało.

– Czyli jednak sprzedali. – Jadwiga kiwnęła głową.

– Ludzie mówią, że sprzedali. Stary Piechniczak ledwo umarł, a już wszystkiego się pozbyli. – Kobieta poruszyła się gwałtownie, rozlewając herbatę. – Widzi pani, jakie rzeczy się dzieją? – Była starsza od Jadwigi o niemal piętnaście lat, ale nigdy nie zwracała się do niej po imieniu.

– Dom już im za życia przepisał. Dobrze, że chociaż dali mu ostatni dech wydać, zanim puścili ogłoszenie. Za nic ojca mieli – dodała gospodyni.

Słaboniowa kiwnęła głową. Trochę z niechęcią, a trochę ze smutkiem. Przez chwilę nie mówiła nic.

– A wie pani, kto to od nich odkupił? – Jadwiga podjęła temat. – Ktoś z naszych?

– Pojęcia nie mam. Ale muszą być jacyś obcy. Muszą. Inaczej już dawno byśmy wiedzieli.

Jadwiga wstała. Podeszła powoli do kuchennego pieca stojącego w kącie. Dopiero kończył się luty, dni wciąż były zimne. Siedziała przez pół dnia w kuchni, bo tylko tutaj rozpałała. Na brała węgla z wiadra.

– Komu obcemu by się chciało do nas sprowadzać? – rzuciła pytanie w przestrzeń i pociągnęła drzwiczki pogrzebaczem. – Chyba tylko jakimś desperatom.

Machnęła węglem w piec i poczekała chwilę, aż fala ciepła rozgrzeje jej zmęczoną twarz.

Irena kasowała powoli wszystkie produkty znajdujące się w koszyku. Nie musiała się spieszyć – to nie praca w supermarkecie, nikt jej nie będzie poganiał ani rzucał pełnych zniecierpliwienia spojrzeń, jeśli nie będzie szybko przebierać rękami. Nikt też nie zwróci jej uwagi, bo nad wejściem wisiał szyld z napisem, „Irena Ciesielska. Sklep spożywczo-monopolowy”, i jedyna osoba, która mogła tu komuś zwracać na coś uwagę, to ona sama. Poza tym pośpiech był tutaj w ogóle niepotrzebny. Kolejka w jej sklepie nie liczyła nigdy więcej niż trzy osoby.

Do zapelnionej po brzegi foliowej reklamówki dorzuciła jeszcze karton mleka, po nim pokrojoną w plastry wędlinę

i podniosła na chwilę głowę, żeby się przyjrzeć klientce. Była w podobnym wieku co Irena, chociaż nie dbała o siebie tak bardzo. Cienkie, jasne włosy związała w luźny supeł, a na czubku głowy widać już było duże odrosty. Starła się wyciągnąć z torebki portfel, w czym przeszkadzało jej uwieszone na ramionach dziecko, na oko dwuletnia dziewczynka. Irena przyglądała się kobiecie już wcześniej, jak nieśmiało krążyła pomiędzy półkami i starannie wybierała artykuły.

Nie mieszkała w ich wiosce.

Na pewno nie, bo Irena znała tu wszystkich.

Mogła zajechać do sklepu przypadkiem, bo czasami wpadali tu ludzie z sąsiednich miejscowości, ale oni nigdy nie robili dużych zakupów. Papierosy, czasem wódka lub ostatnie sztuki chleba pod wieczór. To kupowali u niej. Po resztę rzeczy jechali do marketu do miasta. Tam było taniej.

– Sporo tego – rzuciła Irena z wyuczonym uśmiechem. – Jak na wojnę.

Kobieta lekko się speszyła i wierzchem dłoni, tej, w której trzymała portfel, poprawiła łaskoczący ją po policzku kosmyk włosów.

– Dopiero tu przyjechaliśmy – powiedziała. – To znaczy wprowadzamy się – poprawiła szybko. – Coś trzeba jeść, zanim się urządzimy.

– Do nas się pani przeprowadziła? Do Malumic? – Irena zapytała uprzejmie, ale nie mogła ukryć zdziwienia.

Kobieta skinęła delikatnie głową i ścisnęła mocniej dziecko, które zaczęło się wiercić w jej ramionach.

– Mąż kupił taki stary dom. Trochę okazynie. I dostał pracę tu obok, w mieście. – Zawahała się, a potem położyła portfel na ladzie i wyciągnęła rękę w stronę Ireny. – Elka Bocheńska. A to jest Marysia. Przywitaj się, Marysiu, nie wstydz się.

Dziecko popatrzyło na ekspedientkę niechętnie, a potem wtuliło głowę w szyję matki.

– Ciesielska – przedstawiła się Irena, chociaż uważała, że skoro jej nazwisko widnieje przed wejściem do sklepu, nie jest to koniecznością.

Zdziwiła się też, że Bocheńska zdecydowała się na dziecko teraz. Widać przecież było, że jest już po czterdziestce, a nie każdej kobiecie w tym wieku chce się jeszcze zajmować pieluchami. Irenie na przykład już by się nie chciało. Wystarczy, że odchowala jedno. Jedna pyskata córka całkowicie jej wystarczy, na więcej nie ma już siły.

– Ładna dziewczynka – powiedziała. – Ma pani tylko jedno dziecko?

– Tak. To znaczy nie. Przepraszam. Mamy z mężem jeszcze jedno. Też córka, ale starsza. Już dorosła. O ile można mówić, że dwadzieścia lat to już dorosłość.

– To prawie jak moja Oliwia. W tym roku maturę będzie pisać.

Bocheńska znowu skinęła głową, jakby wcale jej to nie obchodziło. A szkoda, bo Irena lubiła się chwalić córką. Oliwia może nie cechowała się wybitną mądrością, ale za to była ładna, a to dla jej matki liczyło się nawet bardziej. Sama osiągnęła w życiu więcej dzięki urodzie, nie wykształceniu.

– Osiemdziesiąt siedem pięćdziesiąt – wyrecytowała kwotę, którą pokazał wyświetlacz kasy. Był to znak, że na dłuższą rozmowę nie miała już ochoty.

Bocheńska zapłaciła. Przerzuciła dziecko na drugie biodro i podniosła wypełnioną po brzegi reklamówkę. Wyszła powoli, siłując się przez moment z drzwiami, które trudno jej było otworzyć.

Do sklepu od razu wszedł ktoś inny. Gdy Irena podniosła głowę znad lady, zobaczyła swoją siostrę. Danką była od niej starsza tylko o dwa lata, ale kiedy stały obok siebie, miało się wrażenie, że różnica jest dużo większa. Irena nie rozumiała, jak można się tak zapuścić. Danką ani trochę o siebie nie dbała – roztyła się i w ogóle zrobiła jakaś taka... Irenie brakowało odpowiedniego słowa, ale gdyby miała przyrównać do czegoś siostrę, byłaby to wielka miska zimnego, rozpaćkanego budyniu. A Irena nie lubiła budyniu. Nawet jeśli był świeży i ciepły.

Ten jej Stachu wyglądał zresztą podobnie i chociaż głupio jej było tak myśleć o własnej siostrze i szwagrze, to nie mogła przestać. Niektórych myśli nie da się wyjąć z głowy.

Posłała Dance sztuczny uśmiech, taki sam, jakim raczyła większość klientów, i od razu wyciągnęła z lodówki dwie wędzone makrele ze świeżej dostawy, które siostra kazała dla siebie odłożyć.

– Nowi przyjechali – powiedziała bez żadnego wstępu i machnęła głową w kierunku drzwi.

– Jacy nowi? – Danką nie zrozumiała.

– Ta, co ją minęłaś przy wejściu. Z dzieckiem. Kupili tu dom. Pewnie ten po Piechniczaku, bo nie słyszałam, żeby coś innego u nas sprzedawano.

Danką wzruszyła ramionami.

– Kupili, to kupili.

– Ale po co? – Irena szybkimi, agresywnymi ruchami owijała ryby cienką folią. – Gdyby go jeszcze po kimś dostali, to rozumiem, mogli się już do niego od biedy wprowadzić. Ale kupowanie domu w wiosce takiej jak nasza jest naprawdę dziwne.

Ostatnie słowa wypowiedziała powoli, żeby siostra zrozumiała ich prawdziwe znaczenie, ale ona nie zwróciła na to uwagi.

Odwrócona plecami grzebała już w świeżych bułkach i ładowała je do woreczka. Irena popatrzyła niechętnie na jej szerokie plecy i okropny, ciemny płaszcz.

Z Danką nie dało się rozmawiać o niczym ważnym. Każdy kontakt z nią był męką. Gdyby tylko nie była jej rodziną, nie rozmawiałyby wcale.

– I ta kobieta też jest dziwna – dodała Irena, bo musiała, po prostu musiała to komuś powiedzieć. – Ona jest naprawdę dziwna.

2

Dom był stary i brzydki. Z zewnątrz wyglądał jak spróchniałe drzewo powalone przez wicher. Ciemne dachówki zarosły czymś na bokach i przypominały teraz zasuszoną rybią skórę z odstającymi łuskami. Spod ciemnego tynku gdzieś przesywitywały kruszące się cegły. Pokręcone starością drzewka owocowe przechylały się bezsilnie i opierały o ściany budynku.

Nic nie zachęcało do wejścia.

A jednak musiała to znowu zrobić.

Kinga podniosła jedno z pudeł ustawionych obok samochodu i ruszyła w kierunku domu. Przeszła przez podparte krzesłem drzwi wejściowe i tym razem patrzyła pod nogi, żeby nie wpaść na wysoki próg. Na dole były dwa pokoje, kuchnia i łazienka, ale tam już zanieśli większość rzeczy. Skierowała się od razu w stronę schodów. Drewniane, wąskie i strome – była pewna, że któregoś dnia z nich spadnie. Jeśli skręci sobie kark, będzie to wyłącznie wina jej ojca.

Weszła na górę, gdzie znajdowały się jedynie dwa pomieszczenia oraz wąskie drzwi, za którymi znalazła wcześniej schody

prowadzące na strych. Nie sprawdzała, co jest na strychu, nie spodziewała się tam odkryć niczego ciekawego. Jedno z dwóch pomieszczeń na górnym piętrze miało być teraz jej pokojem.

Rzuciła karton na podłogę i po raz kolejny dzisiaj pomyślała, że nienawidzi tego miejsca. Nie chciała się tu przeprowadzać. To ojciec ją zmusił.

„Tylko na jakiś czas – powiedział. – Musimy poczekać, aż wszystko się uspokoi. Aż ludzie zapomną”.

Ale Kinga wiedziała, że wcale tak się nie stanie. Będą tu siedzieć tak długo, aż się zasiedzą i żadna nowa przeprowadzka nie wejdzie już w grę. Pozostanie jej wtedy tylko jedno wyjście – będzie musiała stąd uciec.

Kopnęła ze złością karton, aż przesunął się pod same drzwi. Usiadła na łóżku, jedynym nowym meblu w tym pomieszczeniu, z trudem powstrzymując się od płaczu. Nie wyobrażała sobie spędzenia tutaj nadchodzącej nocy, a co dopiero – zamieszkania na stałe. Od zapachu domu chciało jej się wymiotować. I nie, nie chodziło o coś konkretnego, o coś, co można wyczyścić, zalać substancjami żrącymi, ale o smród, który wszedł już głęboko w ściany. Coś siedziało w całej tej konstrukcji, nasączyło sobą podłogi, wdarło się w tynk. Czuła, że wciąga to w swoje płuca przy każdym oddechu, nawet tym płytkim. Tego zapachu nie da się pozbyć.

Kinga wiedziała, co to było.

Woń starości. Zapach rozkładu. Ten dom i ten stary człowiek, który tu wcześniej mieszkał, tworzyli jedność. Chociaż staruch umarł, to jego smród nadal pozostaje wewnątrz budynku. Musieliby zburzyć ściany, żeby się go pozbyć, ale wiedziała, że ojciec nigdy tego nie zrobi. Nawet gdyby dał się przekonać, nie ma teraz wystarczających środków.

Wstała, żeby otworzyć okno. Klamka chodziła ciężko, jakby od długiego czasu nikt jej nie używał. Wszystkie okna na dole były już plastikowe, te na górze – jeszcze drewniane, podwójne. Kinga czuła, jak przez szpary wlatuje chłodne powietrze. Powiedzieli jej, że za miesiąc, góra dwa zamówią nowe okna i zrobią remont w górnych pomieszczeniach.

„Najpierw w twoim pokoju, a potem w tym drugim. Tam będzie nasza sypialnia albo pokój dla Marysi. Jeszcze się zobaczy”.

Poczuła na twarzy świeże powietrze, gdy wreszcie udało jej się pokonać obie klamki. Na dworze było cicho, nie to co w mieście. Ciemne chmury wisiały nieruchomo nad miejscowością, w jednym miejscu stapiając się z linią lasu. Wydawało się, że nadchodzi wieczór, chociaż tak naprawdę niedawno minęła dwunasta.

Kinga się odwróciła, gdy usłyszała za sobą jęknięcie niezadowolenia. To ojciec wpadł w pudło, które kopniakiem posłała wcześniej pod drzwi.

– Nie wyziębiaj za bardzo – powiedział sucho. – Napalę w piecu dopiero wieczorem, jak trochę posprzątamy.

Postawił na podłodze wielką walizę i dopiero teraz spojrzał na karton, który się przewrócił. Pochylił się, żeby zebrać rozrzucone rzeczy. Gdy jego ręka powędrowała w stronę podniszczonego brązowego notesu, Kinga do niego doskoczyła.

– Nie dotykaj moich rzeczy! – krzyknęła.

Wrzuciła szybko notatnik do pudła, a po nim resztę rozspanych przedmiotów. Ojciec się nie odezwał. Czasami wołałaby, żeby okazywał więcej emocji, żeby zaczął się z nią kłócić. Ale on nigdy nie dawał się sprowokować. Im bardziej był na nią zły, tym dłużej milczał.

Elkę udawało jej się doprowadzać czasem do krzyku, ale reagowała tak tylko, gdy ojca nie było w pobliżu. W pozostałych

przypadkach pilnowała się i udawała miłą. Kinga już dawno zauważyła, że tamta jest dobra w udawaniu.

– Przypadł ci największy pokój – powiedział ojciec. – Jest dwa razy większy od tego w bloku.

– Jest gówniany.

– Przyzwyczaisz się.

– Nie chcę tutaj mieszkać – wydusiła z siebie powoli. – Nie mogliśmy kupić innego domu?

– Nie, nie mogliśmy. – Ojciec się odwrócił i ruszył wolno w kierunku drzwi. Gdy do nich dotarł, położył rękę na framudze i dodał: – Dobrze wiesz, przez kogo musieliśmy się przeprowadzić.

Wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Ale Kinga bardzo dobrze znała odpowiedź. Powtarzali jej to na okrągło. Wszystko, co się ostatnio stało, stało się tylko przez nią.

Zamknęła okna. Poczuła, że zrobiło się już naprawdę zimno.

3

Jadwiga wyszła z kurnika. Niosła niedużą czerwoną miskę wypełnioną jajkami. Gdy doszła już do ganku, zauważyła na drodze tę kobietę. Wcześniej widziała przez okno, jak wychodziła z dzieckiem. Teraz miała dodatkowo w ręce reklamówkę, na oko dosyć ciężką. Szła powoli i mówiła coś do dziewczynki.

Przyjechali tu dwie godziny temu dostawczym samochodem i drugim, zwykłym. Oprócz kobiety z dzieckiem zauważyła też mężczyznę i ładną dziewczynę. Mężczyzna sprawiał wrażenie trochę młodszego od Jadwigi, mógł mieć nie więcej niż pięćdziesiąt lat i wyglądem oraz sposobem chodzenia przypominał jej ojca

chłopaka, z którym kiedyś, dawno temu, całowała się dwa razy na tyłach szkoły.

– Dzień dobry – powiedziała głośno i ruszyła w stronę ogrodu.

Kobieta się zatrzymała. Zawahała się, bo była już po drugiej stronie ulicy, tuż przy furtce swojego podwórka, ale położyła torbę na ziemi przy posesji i podeszła do Jadwigi.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

– Nowi sąsiedzi? – Jadwiga się uśmiechnęła i oparła jedną ręką o ogrodzenie.

– Chyba tak. Właśnie dzisiaj przyjechaliśmy.

– Widziałam właśnie, jak mąż z córką rzeczy do domu noszą. – Jadwiga machnęła ręką w stronę domu naprzeciwko. – Dobrze mówię? To mąż i córka?

Kobieta zmrużyła na chwilę oczy i przytaknęła.

– A to druga córka. – Wskazała na dziecko.

– Ładniutka. A jak się włoski kręca. – Jadwiga przykucnęła. Z trudem, bo bolały ją nogi, i podała dziewczynce wyciągnięte z miski jajko. – Proszę, weź sobie. Mamusia ci ugotuje na kolację.

Dziewczynka nieśmiało wyciągnęła rączkę, przełożyła ją między prętami ogrodzenia i delikatnie złapała jajko. Przycisnęła je do brzucha jak piłeczkę.

– Gdyby pani chciała więcej jajek, to proszę dać znać. Sprzedaję je dwa razy w tygodniu na targu, ale pani mogę zrobić lepszą cenę. A takie wiejskie jajeczko to zawsze lepsze od tych kupnych.

Jadwiga na dowód swoich słów przechyliła miskę, żeby pokazać zawartość, a potem stuknęła się w głowę, jakby o czymś zapomniała.

– Jadwiga jestem. Jadwiga Hankus – powiedziała. – Jak pani będzie chciała, proszę przyjść kiedyś na herbatę.



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](#)

 [wydawnictwo.kobiece](#)